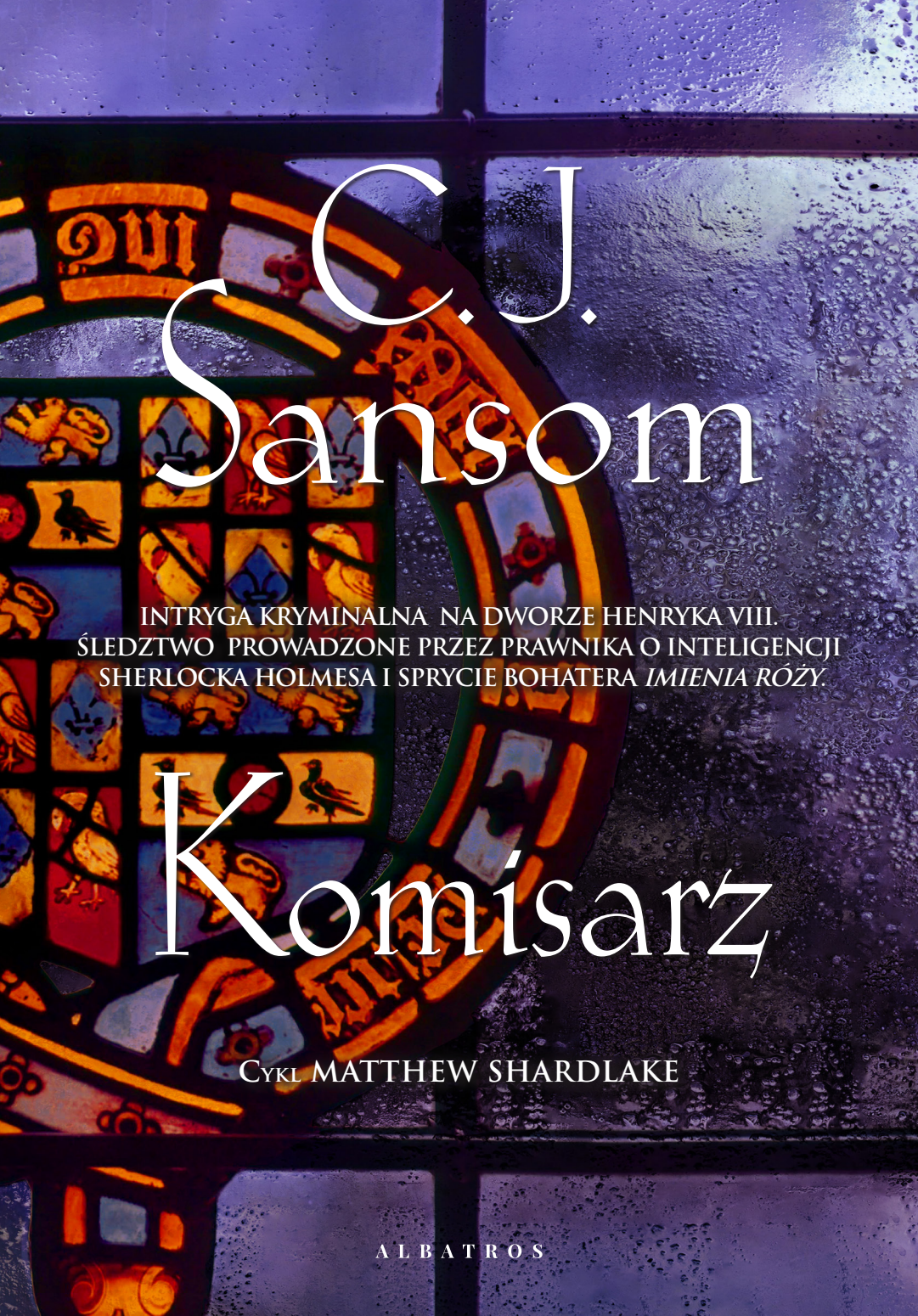




C. J. Sansom

INTRYGA KRYMINALNA NA DWORZE HENRYKA VIII.
ŚLEDZTWO PROWADZONE PRZEZ PRAWNIKA O INTELIGENCJI
SHERLOCKA HOLMESA I SPRYCIE BOHATERA *IMIENIA RÓŻY*.

Komisarz

CYKL MATTHEW SHARDLAKE

ALBATROS

Tytuł oryginału:
DISSOLUTION

Copyright © C.J. Sansom 2003
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Izabela Matuszewska 2010

Redakcja: Jacek Ring

Zdjęcie na okładce: @ TopFoto

Opracowanie graficzne okładki: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział pierwszy

G ościłem wówczas w Surrey, w sprawach zleconych mi przez biuro lorda Cromwella, kiedy nadeszło wezwanie. Ziemie rozwiązanego klasztoru nadano w nagrodę członkowi parlamentu, którego wsparcia potrzebował wikariusz generalny, a tymczasem zaginął gdzieś tytuł własności do części lasów. Odnalezienie ich nie przedstawiało dla mnie szczególnych trudności, przyjąłem zatem zaproszenie owego posła, abym spędził kilka dni z jego rodziną. Cieszyłem się krótkim wypoczynkiem, obserwując opadające ostatnie jesienne liście, zanim przyjdzie mi powrócić do Londynu i swoich obowiązków. Sir Stephen mieszkał w pięknym nowym domu z cegły, o miłych dla oka proporcjach, zaoferowałem się więc, że go dlań narysuję, zdążyłem jednak zrobić ledwie kilka wstępnych szkiców, gdy przybył jezdny.

Posłaniec jechał z Whitehall przez całą noc i stanął w Surrey o świcie. Rozpoznałem w młodzieńcu jednego z osobistych gońców lorda Cromwella i pełen złych przeczuc zламаłem kanclerską pieczęć na liście. Pismo wysłał Grey, sekretarz Cromwella, z wiadomością, że wikariusz generalny życzy sobie widzieć się ze mną jak najszybciej w Westminsterze.

Niegdyś myśl o spotkaniu z mym mocodawcą, piastującym teraz tak wysoki urząd, przejęłaby mnie dreszczykiem radosnego

podniecenia, jednakże tego roku zaczęły mnie nużyć polityczne rozgrywki, prawne manipulacje, ludzkie niegodziwości i niekończąca się sieć podstępów. Martwiło mnie też wielce, że imię lorda Cromwella, w tych dniach bardziej niż królewskie, siało wśród ludzi postrach. W Londynie mówiło się, że rzesze żebraków pierzchają, gdzie pieprz rośnie, na samą wzmiankę o nim. Nie taki świat pragnęliśmy zbudować my, młodzi reformatorzy, kiedyśmy spotykali się w domach i toczyli niekończące się dysputy przy wieczerzy. Razem z Erazmem wierzyliśmy niegdyś, że wiara i miłosierdzie wystarczą, by zatrzeć różnice religijne między ludźmi; tymczasem przed nastaniem tej wczesnej zimy 1537 roku wybuchły w kraju bunt, mnożyły się egzekucje i chciwe walki o ziemię klasztorne.

Niewiele tej jesieni padało, drogi były w dobrym stanie, tak więc pomimo ułomności, która nie pozwalała mi na szybką jazdę konną, stanąłem w Southwark już wczesnym popołudniem. Mój pocziwy stary ogier Kanclerz po miesiącu spędzonym w wiejskim zaciszu niespokojnie wietrzył zapachy i nasłuchiwał miejskiego zgiełku. Ja również. Zbliżając się do Mostu Londyńskiego, odwróciłem głowę od długich pali, gdzie sterczały nabite głowy ludzi straconych za zdradę stanu; wokół nich krążyły stada mew i wydziobywały strzępy mięsa. Zawsze byłem dość delikatnej konstrukcji psychicznej i nie znoszę nawet widoku szczutego psami niedźwiedzia.

Na moście tłoczyła się jak zwykle wielka ciżba ludzi, wielu kupców chodziło w żałobie po śmierci królowej Jane, która dwa tygodnie temu zmarła na gorączkę poporodową. Ze sklepów, stojących ciasno tak blisko wody, że wyglądały, jakby w każdej chwili mogły się przechylić i runąć do rzeki, handlarze zachwalali na głos swoje towary. Na wyższych piętrach kobiety zdejmowały rozwieszoną bieliznę, albowiem chmury coraz bardziej zaciemniały niebo na zachodzie. Zapewne winna była temu moja

melancholia, że ich głosy, nawoływania i głośnie plotkowanie przywiodły mi na myśl wrony kraczące na ogromnym drzewie.

Westchnąłem i upomniałem się w duchu, że powinienem skupić się na swych obowiązkach. W dużej mierze to właśnie dzięki patronatowi lorda Cromwella, mając zaledwie trzydzieści pięć lat, byłem właścicielem prosperującej praktyki prawniczej, jak również pięknego nowego domu. Ponadto pracując dla niego, pracowałem dla reformy, co musiało być miłe Bogu. W tych czasach bowiem byłem jeszcze pełen wiary. Sprawa, w której mnie wezwano, musiała być ważna, gdyż zwykle zlecenia od lorda Cromwella otrzymywałem za pośrednictwem Greya, samego kanclerza zaś i wikariusza generalnego, którym go w tym czasie mianowano, nie widziałem od dwóch lat. Potrząsnąłem cugłami i pokierowawszy Kanclerza przez ciżbę podróżnych i handlarzy, złodziejasków i niedoszłych dworzan, zanurzyłem się w ten wielki londyński miszmasz.



JADĄC PRZEZ LUDGATE HILL, zobaczyłem stragan, na którym piętrzyły się góry jabłek i gruszek, a ponieważ zgłodniałem w podróży, zsiadłem z konia, aby kupić trochę owoców. Kiedy tak stałem i karmiłem Kanclerza jabłkiem, mą uwagę ściągnął tłumek mniej więcej trzydziestu ludzi tłoczących się przed tawerną i szemrzących zżywieniem. Uznałem, że to pewnie jakiś kolejny terminator czyta nowy przekład Biblii, a nie rozumiejąc z tego, co czyta, nic zgoła, postradał rozum i został kolejnym prorokiem. Jeśli tak, lepiej, aby miał się na baczności przed konstabłem.

Na obrzeżach zgromadzonej gawiedzi dostrzegłem kilka lepiej odzianych osób. Rozpoznałem wśród nich Williama Peppera, prawnika z sądu do spraw majątku likwidowanych klasztorów, stojącego w towarzystwie młodzieńca w jaskrawym kaftanie z rozcięciami. Zaciekawiony, poprowadziłem ku nim Kanclerza po

brukowanej ulicy, starając się omijać z daleka cuchnący rynsztok. Kiedy się zbliżyłem, Pepper odwrócił się w moją stronę.

– O, Shardlake! Brakowało mi widoku twojej osoby przemyskającej po sądowych korytarzach w tym trymestrze. Gdzieżeś to się podziewał? – Odwrócił się do swego towarzysza. – Pozwól, że ci przedstawię Jonathana Mintlinga, świeżo dyplomowanego nowego, szczęśliwego członka naszego sądu. Jonathanie, poznaj Matthew Shardlake’a, najbystrzejszego garbusa w angielskim sądownictwie.

Skloniłem się młodemu człowiekowi, ignorując niegrzeczną aluzję Peppera do mojej ułomności. Nie tak dawno temu pokonałem go w sądzie, a prawnicze języki są zawsze skore do szukania zemsty.

– Co się tu dzieje? – spytałem.

Pepper wybuchnął śmiechem.

– Powiadają, że jakaś kobieta w tawernie ma ptaka przywiezionego z Peru, który potrafi konwersować równie swobodnie jak każdy Anglik. Ma go właśnie zaprezentować.

Ulica opadała nieco w kierunku tawerny, tak więc pomimo mego mizernego wzrostu widziałem dobrze wejście do gospody. W drzwiach stała otyła niewiasta w poplamionej tłuszczem sukni, z żelazną żerdzią osadzoną na trójnogu. Na poprzeczce siedział najprzedziwniejszy ptak, jakiegom w życiu widział. Wielkością przewyższał największe wrony, dziób miał krótki, groźnie na końcu zakrzywiony, upierzenie zaś czerwono-złote i tak jaskrawe, że na zakurzonej szarej ulicy aż biło w oczy. Tłum zbił się ciasniej pod drzwiami.

– Cofnąć się! – krzyknęła kobieta przenikliwym głosem. – Tabitha nie będzie z nikim gadać, jak się będzie przepychać.

– Posłuchajmy, jak gada!

– Hola! Żądam zapłaty za swój trud! – zawołała jejmość zuchwale. – Tabitha przemówi, jeśli każdy rzuci jej pod nogi

ćwierćpensówkę!

- Ciekawym, coż to za sztuczka - zadrwił Pepper, ale przyłączył się do tłumu i rzucił monetę pod trójnog.

Starucha wybrała pieniądze z błota, a potem odwróciła się do ptaka.

- Tabitha, powiedz: „Niech żyje król Henryk! Msza za biedną królową Jane!” - rozkazała.

Zdawało się, że ptaszysko nie zwraca na nią uwagi, tylko przestępuje z nogi na nogę i łypie na tłum szklanymi ślepiami. Aż nagle zawołało głosem nader podobnym do swojej właścicielki:

- Niech żyje król Henryk! Msza za biedną królową Jane!

Ci, którzy stali z przodu, cofnęli się przestraszeni, a gąszcz rąk czym prędzej nakreślił w powietrzu znak krzyża. Pepper gwizdnął.

- I co ty na to, Shardlake?

- Sam nie wiem. Gdzieś tu musi być haczyk.

- Jeszcze raz - zażądał któryś odważniejszy z gapiów. - Jeszcze!

- Tabitha! Powiedz: „Śmierć papieżowi! Śmierć biskupowi Rzymu!”.

- Śmierć papieżowi! Biskupowi Rzymu! Niech żyje król Henryk!

Stwór rozczapierzył skrzydła, aż kilka osób krzyknęło z cicha. Zauważyłem, że zwierzęciu obcięto pióra w połowie długości, aby nie uciekło. Nigdy więcej nie będzie mogło latać. Tabitha zanurzyła zakrzywiony dziób w pierzu na piersi i zaczęła się czyścić.

- Przyjdźta jutro na schody pod Świętym Pawłem - krzyknęła baba - to usłyszycie jeszcze więcej! Opowiedzta wszystkim, że Tabitha, gadający ptak z krainy Peru, będzie tam o dwunastej. Przybyła z kraju, gdzie w wielkim mieście na drzewach gadają setki takich ptaków!

To rzekłszy, zatrzymując się tylko, aby podnieść z ziemi kilka monet, które przedtem przeoczyła, stara jejmość podniosła żerdź z ptakiem i znikła w środku; zwierzę trzepotało rozpaczliwie połamany skrzydłami, aby zachować równowagę.

Tłum zaczął się rozchodzić, mrucząc z ożywieniem. Wziąłem Kanclerza za uzdę i ruszyłem z powrotem wąską uliczką pod górę, Pepper ze swym młodym towarzyszem szli obok mnie. Mój znajomy nieco stracił na swej zwykłej arogancji.

– Słyszałem, że wiele cudów przywożą z owego Peru, które podbili Hiszpanie. Zawsze uważałem, że nie można wierzyć w połowę tych bajeczek opowiadanych o Indiach, ale to... och, Przenajświętsza Panienko!

– To jakaś sztuczka – orzekłem. – Nie widziałeś, jakie oczy miał ten ptak? Nie było w nich ani krztyny rozumu. Przestał gadać, żeby sobie czyścić pióra.

– Ale wszak gadał, panie – odezwał się Mintling. – Przecie na własne uszy słyszeliśmy.

– Można gadać i nic z tego nie rozumieć. Ptak pewnie powtarza za babą słowa, które słyszy, tak jak pies przybiega na wołanie pana. Słyszałem, że sójki też potrafią takie rzeczy.

Dojechaliśmy do końca ulicy i się zatrzymaliśmy. Pepper uśmiechnął się szeroko.

– No cóż, prawda i to, że ludzie w kościele odpowiadają na łacińskie słowa księży, chociaż ni w ząb nie rozumieją, co one znaczą.

Wzruszyłem ramionami. Taki sentyment wobec łacińskich mszy nie zaliczał się jeszcze do ortodoksji, a ja nie zamierzałem dać się wciągnąć w dysputę. Skłoniłem się.

– Obawiam się, że muszę was opuścić. Jestem umówiony na spotkanie z lordem Cromwellem w Westminsterze.

Na chłopcu zrobiło to ogromne wrażenie, Pepper starał się nie dać tego po sobie poznać. Wsiadłem na Kanclerza i uśmie-

chając się cierpko, wmieszałem się na powrót w tłum. Prawnicy są największymi plotkarzami, jakich Bóg stworzył na ziemi, i nie zaszkodzi moim interesom, jeśli Pepper rozpowie w sądzie, że miał prywatną audiencję u kanclerza. Moja radość nie trwała wszakże długo, albowiem wkrótce na zakurzoną drogęwały spadać pierwsze wielkie krople i nim dojechałem do końca Fleet Street, lało już jak z cebra, a wicher zaciął mi deszczem prosto w twarz. Nałożyłem kaptur płaszcza i trzymając go mocno pod szyją, jechałem dalej przez nawałnicę.



NIM DOJECHAŁEM DO PAŁACU Westminsterskiego, deszcz zamienił się w ulewę i bił we mnie gęstymi płachtami wody. Minąłem paru jeźdźców, którzy podobnie jak ja kulili się w fałdach płaszczy, i wymienilem z nimi kilka uwag o tym, jak wszyscy przemokliśmy do suchej nitki.

Król opuścił Westminster kilka lat temu i przeniósł się do nowego pałacu w Whitehall. Od tamtej pory w Westminsterze mieściły się głównie sądy; sąd do spraw majątku likwidowanych klasztorów utworzono niedawno, aby zajmował się sprawami ziem pozostałych po kilku niewielkich konwentach zlikwidowanych przed rokiem. Miał tu również swą siedzibę lord Cromwell oraz świta jego urzędników mnożąca się niczym grzyby po deszczu. Tak więc było to bardzo ruchliwe miejsce.

Zwykle na dziedzińcu roilo się od ludzi: odziani na czarno prawnicy debatowali o jakichś pergaminach, urzędnicy królewscy toczyli spory lub spiskowali w ustronnych miejscach, dzisiaj wszakże deszcz zagonił wszystkich do budynków i dziedziniec pałacu świecił pustkami. Tylko przed wejściem do sądu do spraw klasztorów kuliło się kilku biednie odzianych ludzi przemokniętych do suchej nitki – to mnisi z rozwiązanych zakonów przybyli ubiegać się o świeckie parafie, które im przyobiecano w ustawie.

Widać urzędnik dokądś wyszedł; kto wie, może to właśnie pan Mintling tym się zajmował. Jeden z zakonników, mężczyzna o dumnym obliczu, cały czas miał na sobie habit cystersów. Z jego kaptura kapąły krople wody. Strój ten nie przysporzy mu przychylności w gabinetach lorda Cromwella, pomyślałem.

Dawni zakonnicy mieli zwykle zastraszone miny, ta grupa wszakże spoglądała ze zgrozą ku miejscu, gdzie tragarze rozładowywali dwa wielkie wozy i składając ich zawartość na sterty pod murem, przeklinali deszcz, który wlewał im się do oczu i ust. W pierwszej chwili pomyślałem, że ludzie ci przywieźli drewno na opał, gdy jednak zatrzymałem Kanclerza, dostrzegłem, że wyjmują z wozów szkatułki o szklanych frontach, drewniane i gipsowe rzeźby, wielkie, bogato zdobione krzyże. Musiały to być relikwie, obrazy i posążki ze zlikwidowanych klasztorów. Przywiezione z miejsc, gdzie otaczano je bałwochwalczą czcią, i zrzucone na dziedziniec, straciły wreszcie swą boską władzę, którą zwolennicy reformacji tacy jak ja starali się ukrócić. Stłumiłem w sobie odruch litości i skinąłem ponuro głową w kierunku grupki mnichów, a następnie pokierowałem Kanclerza ku wewnętrznej bramie.



W STAJNI WYTARŁEM SIĘ rącznikiem, który dostałem od koniuszego, i wszedłem do pałacu. Przedłożyłem list od lorda Cromwella strażnikowi, a ten wyprowadził mnie z publicznej części budynku i powiodł przez labirynt wewnętrznych korytarzy, cały czas dzierżąc wysoko wzniesioną lśniącą pikę.

Minąwszy ogromne drzwi, przy których stało dwóch innych strażników, znaleźliśmy się w długiej, wąskiej komnacie, rozświetlonej mnóstwem świec. Niegdyś była to sala balowa, teraz od jednego końca do drugiego stały w niej rzędy biur, przy których siedzieli odziani na czarno urzędnicy i przesiewali góry

korespondencji. Natychmiast zbliżył się do mnie starszy urzędnik – niski i krępy, z palcami poczerniałymi od inkaustu.

– Pan Shardlake? Szybko przybyłście, waszmość.

Zdziwiło mnie, skąd ów człowiek mnie znał, ale zaraz się domyśliłem, że kazano mu po prostu wyglądać garbusa.

– Pogoda była dla mnie łaskawa, aż do tej pory.

Popatrzyłem w dół na swe przemoczone rajtuzy.

– Jego wielobność wikariusz generalny kazał mi was przyprować, gdy tylko się zjawicie.

Powiodł mnie w głąb sali, wzdłuż rzędów stołów, gdzie pisarze szeleścili papierami. Płomienie świec zamigotały wzbudzone naszym przejściem. Uprzytomniłem sobie w tamtej chwili, jaką rozległą sieć kontroli nad krajem uprządził mój mocodawca. Pod jego rozkazami działali komisarze oraz lokalni sędziowie pokoju, a każdy dysponował własną grupą informatorów, każdy gotów donosić o najdrobniejszych przejawach niezadowolenia lub zdrady, które poddawano następnie najsurowszemu śledztwu, a kary z roku na rok wymierzano coraz surowsze. Doszło już do jednego buntu przeciwko reformom religijnym; kolejny mógłby wstrząsnąć w posadach całym królestwem.

Urzędnik zatrzymał się przed wielkimi drzwiami na końcu sali. Przykazał mi zaczekać, a sam zapukał i wszedł, kłaniając się nisko.

– Przyszedł pan Shardlake, wasza miłość.



W PRZECIWIENSTWIE DO POPRZEDNIEJ sali komnata lorda Cromwella tonęła w półmroku; tylko jeden mały kinkiet ze świecami, przytłumiony nad biurkiem, rozpraszał popołudniowy mrok. Większość ludzi piastujących tak wysoki urząd ozdobiłaby ściany najbogatszymi draperiami, tymczasem w gabinecie kanclerza od podłogi aż po sufit piętrzyły się setki szuflad, na

każdym wolnym kawałku podłogi stały stoły i kufry, a wszystkie zarzucone sprawozdaniami i spisami. W wielkim kominku płonęły z trzaskiem grube polana.

Z początku nie widziałem w komnacie żywej duszy, dopiero po chwili zauważyłem kręłą sylwetkę kanclerza stojącego przy stole w głębi sali. Trzymał w ręce szkatułkę i oglądał jej zawartość z brwiami zmarszczonymi pogardliwie, z szerokimi ustami o cienkich wargach wygiętymi w dół ponad wąską, długą brodą. Kształt dolnej części jego twarzy przywiódł mi na myśl wielką pułapkę, która w każdej chwili gotowa była się otworzyć i połknąć człowieka w całości i naraz. Obejrzał się na mnie i jego oblicze przeobraziło się z tą charakterystyczną dlań płynną łatwością, uśmiechnął się życzliwie i uniośł dłoń na powitanie. Ukłoniłem się najniżej, jak mogłem, krzywiąc się, bo kości zeszywniały mi po długiej jeździe wierzchem.

– Matthew, podejdź tu do mnie. – Jego głęboki, szorstki głos zabrzmiał serdecznie. – Dobrze się spisałeś w Croydon. Cieszę się, że ten węzeł został wreszcie rozplątany.

– Dziękuję, wasza miłość.

Zbliżając się, zauważyłem, że spod jego szaty oblamowanej futrem wystaje czarna koszula. Kanclerz uchwycił moje spojrzenie.

– Słyszałeś, że królowa nie żyje?

– Tak, panie. To wielki smutek.

Wiedziałem, że po egzekucji Anny Boleyn lord Cromwell związał swój los z rodem Jane Seymour.

Mruknął z niezadowoleniem.

– Król nie ma teraz głowy do innych spraw.

Spojrzałem na stół. Ku memu zdziwieniu stały na nim w ogromnej liczbie wszelkiej wielkości relikwiarze, srebrne i złote, wysadzane drogimi kamieniami. Za wiekowymi szybkami na aksamitnych poduszeczkach spoczywały kawałki materiału i

kości. Przeniosłem wzrok na szkatułę, którą lord Cromwell nadal trzymał w ręce, i zobaczyłem w niej dziecięcą czaszkę. Wyjął ją i potrząsnął, aż zagrzecgotały zęby tkwiące luźno w szczęcie. Uśmiechnął się ponuro.

– To cię powinno zainteresować. Relikwie przywiezione specjalnie, aby poddać je mojej uwadze. – Postawił relikwiarz na stole i wskazał palcem łacińską inskrypcję. – Spójrz na to.

– *Barbara sanctissima* – przeczytałem.

Przyjrzałem się czaszce. W gołej kości tkwiło jeszcze kilka przyklejonych włosów.

– Czaszka świętej Barbary – oznajmił Cromwell, klepiąc dłonią szkatułę. – Młoda dziewczina zamordowana przez ojca poga-
nina za czasów rzymskich. Z klasztoru kluniackiego w Leeds. Najświętsza relikwia. – Następnie schylił się i wziął do ręki srebrną szkatułę wysadzaną prawdopodobnie opalami. – To z kolei czaszka świętej Barbary przywieziona z klasztoru żeńskiego w Boxgrove w Lancashire. – Zaśmiał się cierpko. – Powiadają, że w Indiach żyją dwugłowe smoki. My mamy dwugłowych świętych.

– Dobry Boże.

Zajrzałem do obydwu relikwiarzy.

– Ciekawym, do kogo należały te czaszki.

Jeszcze raz zaśmiał się krótko i poklepał mnie serdecznie.

– Ha! Oto cały mój Matthew, niezmordowanie szukający odpowiedzi na wszelkie pytania. Właśnie tego badawczego umysłu teraz potrzebuję. Mój człowiek z Yorku utrzymuje, że zdobienia na złotej szkatule są rzymskie, ale i tak stopnieje ona w piecach Tower wraz ze wszystkimi innymi, a czaszki pójdą do gnoju. Ludzie nie powinni czcić kości.

– Dużo ich.

Spojrzałem za okno, gdzie deszcz zalewał strumieniami dziedziniec, a mężczyźni nieprzerwanie wyładowywali szkatuły z wozów. Lord Cromwell również podszedł do okna i przez dłu-

szą chwilę patrzył na podwórzec. Naszła mnie myśl, że choć mój mecenas był teraz parem, uprawnionym do chodzenia w szkarłacie, ubierał się nadal tak samo jak ja – w czarną szatę i płaską czarną czapkę urzędników państwowych. Czapka jednakowoż była z jedwabnego aksamitu, a szata podbita futrem bobrowym. Zauważyłem też, że długie brązowe włosy przyproszyła siwizna.

– Muszę nakazać, aby pownoszono te rzeczy do środka, żeby wyschły – powiedział. – Kiedy następnym razem spalimy papieskiego zdrajcę, każę położyć to drewno na jego stos. – Odwrócił się i uśmiechnął do mnie ponuro. – Niech ludzie zobaczą, że w ogniu z ich heretyckich obrazków będą wrzeszczeć nie mniej od innych i Bóg też nie wyskoczy z płomieni. – Znowu oblicze mu się odmieniło, tym razem sposepniał. – No, chodźże tu, usiądź. Mamy sprawę.

Zasiadł za biurkiem i wskazał mi niedbałym ruchem krzesło stojące naprzeciwko niego. Skrzywiłem się, bo plecy mnie bolały okrutnie.

– Widać, żeś zmęczony, Matthew.

Przyjrzał mi się wielkimi brązowymi oczami. Tak samo jak twarz wyraz tych oczu nieustannie się zmieniał, teraz stały się zimne.

– Troszeczkę. Mam za sobą długą podróż.

Zerknąłem na biurko zarzucone dokumentami; na niektórych w świetle świec błyszczała królewska pieczęć. Kilka mniejszych złotych szkatulek posłużyło za przyciski do papieru.

– Bardzo dobrze się spisałeś w sprawie tych aktów własności – rzekł kanclerz. – Bez nich sprawa w sądzie kanclerskim ciągnęłaby się latami.

– Miał je u siebie były szafarz klasztoru. Zabrał je, kiedy zlikwidowano opactwo. Najwyraźniej miejscowi wieśniacy chcieli zagarnąć tę ziemię na błonia. Sir Richard podejrzewał jakiegoś miejscowego rywala, ale postanowiłem zacząć od szafarza, jako

że on ostatni miał pieczę nad dokumentami.

– Bardzo dobrze. To był logiczny wniosek.

– Wytropiłem go w miejscowym kościele, gdzie został proboszczem. Szybko wyznał, że ma dokumenty, i w końcu mi je oddał.

– Pewnie wieśniacy przekupili byłego klechę. Oddałeś go w ręce sprawiedliwości?

– Szafarz nie wziął dla siebie żadnych pieniędzy. Mniemam, że chciał tylko pomóc miejscowym. Ziemia tam uboga. Uznałem, że lepiej nie podburzać ludzi.

Twarz lorda Cromwella stężała.

– Matthew, ten człowiek popełnił przestępstwo. Źle, żeś go nie zaaresztował, choćby dla przestrogi. Mam nadzieję, że nie mięknie ci serce. W dzisiejszych czasach potrzeba mi twardych ludzi na służbie. – Twarz mu niespodziewanie zaszła gniewem; pamiętałem te jego porywcze humory jeszcze z dawnych lat, kiedy się dopiero poznaliśmy. – To nie *Utopia* Thomasa More’a, to nie naród niewinnych dzikusów czekających tylko na Słowo Boże, by dopełniło się ich szczęście, to królestwo przemocy zagrożone w zepsuciu zdeprawowanego Kościoła.

– Wiem o tym.

– Papiści chwycą się wszelkich metod, aby nam przeszkodzić w zbudowaniu chrześcijańskiej wspólnoty, więc, na Chrystusa, ja użyję wszelkich metod, aby ich pokonać.

– Przykro mi, jeśli zboczył w osądach.

– Niektórzy twierdzą, żeś miękki – ciągnął cicho. – Powiadają, że brakuje ci zapału i boskiej żarliwości, a kto wie, może i lojalności.

Lord Cromwell potrafił wpiąć w rozmówcę wzrok i nie mrużąc, wpatrywać się w niego tak długo, aż ten poczuł przymus, aby spuścić oczy. Kiedy się po chwili z powrotem nań spojrzało, jego surowe brązowe oczy nadal świdrowały człowieka na

wskroś. Starałem się zachować dla siebie wszystkie wątpliwości, które mnie trawiły, i zmęczenie; z całą pewnością nikomu się z nich nie zwierzyłem.

– Wasza miłość, jestem wrogiem papieżstwa dzisiaj tak samo jak przed laty. – Wyrzekając te słowa, nie mogłem się powstrzymać od myśli o wszystkich, którzy przede mną musieli złożyć tę deklarację, gdy kanclerz poddawał badaniu ich lojalność. Przeszedł mnie lęk, wziąłem głęboki oddech, aby się uspokoić, i miałem nadzieję, że tego nie zauważył. Po chwili skinął powoli głową.

– Mam dla ciebie zadanie odpowiednie dla twych zdolności. Może od niego zależeć cała przyszłość reformacji.

Pochylił się do przodu, wziął do ręki małą szkatułkę i podniósł ją do oczu. Wewnątrz, na środku bogato rzeźbionej srebrnej kolumnienki, leżała szklana fiolka zawierająca czerwony proszek.

– To krew świętego Pantaleona żywcem obdartego ze skóry przez pogan. Z Devon. Powiadają, że w dzień tego świętego proszek zamienia się z powrotem w płyn. Co roku setki głupców pielgrzymowały, aby ujrzeć ten cud, szli na klęczkach, byle dotrzeć tego szczytu. Ale spójrz no tylko. – To rzekłszy, odwrócił szkatułkę na drugą stronę. – Widzisz tę dziurkę z tyłu? W ścianie, gdzie stała relikwia, wywiercili drugi taki otwór. Mnich wsuwał pipetę i napełniał fiolkę wodą zabarwioną na czerwono. I proszę, święty proszek, czy raczej umbra palona, zamienia się w płynną krew!

Pochyliłem się i dotknąłem palcem otworu.

– Ja także słyszałem o takich oszustwach.

– Tym właśnie stoją klasztory: oszustwem, bałwochwalstwem, chciwością i potajemną służbą biskupowi Rzymu. – Odwrócił relikwiarz, a wtedy maleńkie czerwone płatki zaczęły przesypywać się w fiolce z góry na dół. Klasztory są jak wrzód na łonie tego królestwa i ja go z niego wydrę.

- Początek został uczyniony. Pomniejsze klasztory zlikwidowano.

- To zaledwie drasnęło powierzchnię, ale przynajmniej przysporzyło pieniędzy, dość, żeby zaostrzyć apetyt króla na większe klasztory, gdzie kryje się prawdziwe bogactwo. Dwieście z nich ma w posiadaniu jedną szóstą majątku królestwa.

- Naprawdę aż tyle?

Kanclerz skinął głową.

- Tak. Ale po buncie z zeszłej zimy, kiedy to dwadzieścia tysięcy protestujących mnichów rozbiło obozy nad Donem i żądało zwrotu klasztorów, muszę działać ostrożniej. Król nie chce więcej likwidować opactw siłą, i ma rację. Potrzebuję, aby poddały się dobrowolnie, Matthew.

- Ale oni nigdy...

Kanclerz uśmiechnął się cierpko.

- Jest wiele sposobów, żeby zabić wieprza, Matthew. A teraz słuchajże mnie uważnie. To poufna informacja. - Pochylił się do mnie i mówił dalej cicho i z naciskiem. - Kiedy dwa lata temu zleciłem inspekcję klasztorów, dopilnowałem, aby starannie spisywano wszystko, co może się przyczynić do ich zamknięcia. - Wskazał głową rzędy szufladek na ścianach. - Wszystko tu jest: sodomia, cudzołóstwo, kazania, które są jawną zdradą stanu, potajemnie wyprzedawany majątek. A mam jeszcze całe mnóstwo informatorów ukrytych w klasztorach. - Uśmiechnął się złowieszczo. - Dawno już mogłem posłać na szubienicę dziesiątki opatów, ale czekam na lepszą sposobność, przykręcam śrubę, wysyłam coraz to nowe, surowe nakazy, których muszą przestrzegać. Boją się mnie jak ognia.

Uśmiechnął się po raz wtóry, po czym nagle podrzucił relikwiarz w powietrze, złapał i odstawił z powrotem między papiery.

- Udało mi się nakłonić króla, aby zezwolił mi wybrać kil-

kanaście klasztorów i nałożyć na nie szczególne restrykcje. Wysłałem tam starannie dobranych ludzi, aby złożyli opatom propozycję wyboru: albo emerytura, szczególnie hojna dla przełożonych, w zamian za dobrowolne rozwiązanie konwentu, albo proces. Lewes za głoszenie kazań przeciw racji stanu; Titchfield, skąd przeor wysłał mi odpowiednio dobrane informacje o braciszkach; Peterborough... Kiedy za sprawą mych nacisków kilka klasztorów dobrowolnie podda się rozwiązaniu, pozostałe zrozumieją, że sprawa jest przegrana, i pokornie pójdą za ich przykładem. Uważnie śledziłem, jak postępują negocjacje, i wszystko szło dobrze aż do wczoraj. – Wziął z biurka list. – Słyszałeś może o klasztorze w Scarnsea?

– Nie, wasza miłość.

– Bo też nie było powodu, abyś słyszał. Ma tam siedzibę zakon benedyktynów, w starym zamulonym porcie nad kanałem, na granicy hrabstw Kent i Sussex. To siedlisko występku nie od wczoraj, mamy dowody ich dawnych grzeszków, a teraz tamtejszy sędzia pokoju, który jest moim człowiekiem, donosi mi, że opat wyprzedaje ziemię za bezcen. W ubiegłym tygodniu wysłałem tam Robina Singletona.

– Znam Singletona – rzekłem. – Stawałem przeciw niemu w sądzie. To człek silnego charakteru. – Zawahałem się. – Jednakowoż chyba nie najlepszy prawnik.

– To prawda, ale mnie potrzebny był właśnie jego silny charakter. Mieliśmy niewiele konkretnych dowodów w tej sprawie, chciałem, aby spróbował wydobyć coś z mnichów na miejscu. Wysłałem z nim specjalistę od prawa kanonicznego, starego reformatora z Cambridge, niejakiego Lawrence’a Goodhapsa. – Wyłowił ze sterty papierów list i podał mi go. – To nadeszło wczoraj rano od Goodhapsa.

List napisano maczkiem na kartce wyrwanej z księgi rachunkowej.

Wasza Miłość

Piszę ten list w pośpiechu i wyślę go przez posłańca z miasta, albowiem nie ośmieliłbym się zaufać nikomu w tym okropnym miejscu. Pan Singleton został haniebnie zamordowany w samym środku klasztoru, a uczyniono to w najbardziej odrażający sposób. Znalezione go dziś rano w kuchni w kałuży krwi, a jego głowa leżała odcięta obok. Musiał to uczynić jakiś wielki wróg Waszej Miłości, wszyscy jednak wypierają się tego bezecnego czynu. Zbezczeszczono również kościół i skradziono relikwię – dłoń złodzieja ukrzyżowanego z naszym Zbawicielem. Powiadomiłem sędziego Copenyngera i razem zaprzysięgliśmy opata, że będzie milczał. Obawiamy się, aby pogłoski o tym wydarzeniu nie przedostały się poza mury klasztoru.

Proszę o pomoc, Wasza Miłość, i wskazówki, co mam dalej czynić.

Lawrence Goodhops

- Zamordowano komisarza?
- Na to wygląda. Poczcwiina Goodhops jest przerażony.
- Przecież jeśli by to uczynił mnich, ściągnąłby na klasztor natychmiastową klęskę.

Lord Cromwell skinął głową.

- Wiem. Musi to być jakiś klasztorny szaleniec, który jako żywo bardziej nas nienawidzi, niż się lęka. Ale rozumiesz, jakie nasuwają się wnioski. Chcę uczynić precedens z samorozwiązania się tych klasztorów. Prawo Anglii i jej zwyczaje opierają się na precedensach.

- Wszak mamy tu do czynienia z zupełnie innym precedensem.

- Właśnie. Uderzono w królewski majestat, i to dosłownie. Staruszek Goodhops dobrze zrobił, że nakazał zachować całą tę

historię w tajemnicy. Pomyśl tylko, jaką pożywką stałoby się to dla wszelkich fanatyków i szaleńców w całym kraju, gdyby wieść o tym czynie wydostała się na zewnątrz.

– Czy król wie?

Kanclerz popatrzył na mnie surowo.

– Gdybym mu powiedział, jego gniew miałby niewyobrażalne skutki. Wysłałby żołnierzy i kazał powiesić opata na jego dzwonnicy. Wniwecz by to obróciło wszelkie moje strategiczne wysiłki. Ta sprawa musi zostać rozwiązana szybko i w największej tajemnicy.

Domyślałem się już, dokąd cała rzecz zmierza. Poruszyłem się na krześle, ponieważ bolały mnie plecy.

– Chcę, abyś tam pojechał, Matthew, natychmiast. Daję ci wszelkie pełnomocnictwa komisarza wikariusza generalnego. Otrzymujesz prawo wydawania rozkazów i dostępu wszędzie, gdzie tylko potrzebujesz.

– Wasza miłość, czy nie jest to zadanie stosowniejsze dla doświadczonego komisarza? Nigdy nie prowadził spraw państwowych z zakonnikami.

– Uczyłeś się u nich. Znasz ich obyczaje. Moi komisarze to ludzie budzący respekt, ale nie słyną z finezji, a ta sprawa wymaga delikatnej ręki. Możesz mieć zaufanie do sędziego Copyngera. Nigdy go nie spotkałem, ale wymienialiśmy listy i wiem, że to niezłomny reformator. Nikt inny w mieście nie powinien wiedzieć o tym, co się wydarzyło. Na szczęście Singleton nie miał rodziny, więc nie będą nas niepokoić krewni.

Wziąłem głęboki oddech.

– Co wiemy o tym klasztorze?

Cromwell otworzył wielką księgę. Rozpoznałem *Compertę* – raport z wizytacji w klasztorach sporządzony dwa lata temu i cytowany przed parlamentem w co bardziej soczystych fragmentach.

- To wielki romański kompleks, bogaty w ziemię i piękne zabudowania. Mieszka tam ledwo trzydziestu mnichów i co najmniej sześćdziesiąt sług. Dogadzą sobie, typowi benedyktyni. Według komisarza, który przeprowadzał inspekcję, kościół pęka w szwach od ozdób i świętych figur. Mają też relikwię, dłoń złodzieja ukrzyżowanego razem z Chrystusem, przybitą do kawałka drewna, rzekomo jego krzyża. Ludzie pielgrzymują do niej z daleka, powiadają, że leczy kalectwo.

Mimowolnie spojrzał na mój garb, jak to zwykle czynią ludzie, kiedy ktoś wspomina o kalectwie.

- To pewnie ta relikwia, o której wspominał Goodhaps.

- Tak. Moi wysłannicy trafili w Scarnsea na siedlisko sodomitów, jak to się często zdarza w tych szurzących norach. Poprzedniego przeora, który był głównym winowajcą, usunięto. Według nowych Artykułów Wiary sodomia jest karana śmiercią, to dobry punkt zaczepienia. Kazałem Singletonowi sprawdzić, jak się pod tym względem sprawy mają, a także prześledzić wyprzedaż ziem, o której pisał mi Copynger.

Rozmyślałem przez chwilę.

- To skomplikowana sprawa mająca kilka warstw.

Lord Cromwell skinął głową.

- Właśnie dlatego potrzebuję rozumnego człowieka. Wysłałem już do twojego domu pełnomocnictwa i zlecenie, a także odpowiednie fragmenty *Comperty*. Chcę, żebyś wyruszył w drogę jutro z samego rana. Ten list ma już trzy dni, a tobie podróż może zająć drugie tyle. Weald o tej porze roku zamienia się w bagnisko.

- Aż do dzisiaj mieliśmy suchą jesień. Myślę, że dojadę tam w dwa dni.

- To dobrze. Nie bierz żadnych służących, nie mów o tym nikomu poza Markiem Poerem. Nadal u ciebie mieszka?

- Tak. Doglądał mych spraw pod moją nieobecność.

- Chcę, aby ci towarzyszył. Mówiono mi, że ma tęgi umysł, a

tobie może się też przydać para silnych rąk.

– Ale wasza miłość, to może być niebezpieczne. Poza tym, aby być szczerym, Mark nie przejawia zbytnej żarliwości religijnej, nie zrozumie, o co w tej sprawie chodzi.

– Nie musi rozumieć, póki pozostaje lojalny i robi, co mu każesz. Ponadto ta sprawa może mu pomóc w powrocie do sądu po tym skandalu, który wywołał.

– Mark postąpił jak głupiec. Powinien był wiedzieć, że człowiek o jego pozycji nie może się nawet zbliżać do córki rycerza.
– Westchnąłem. – Jest jeszcze młody.

Lord Cromwell burknął.

– Gdyby król się o tym dowiedział, kazałby go wychłostać. Okazał mało wdzięczności za to, że znalazłeś mu pracę.

– To było ważne zobowiązanie rodzinne, wasza miłość.

– Jeśli dobrze się spisze w tej misji, może poproszę Richa, aby przywrócił go na dawne stanowisko – dodał z naciskiem.

– Dziękuję, wasza miłość.

– Teraz muszę jechać do Hampton. Spróbuję przekonać króla, że powinien wrócić do spraw państwowych. Matthew, dopilnuj, aby nawet słowo o tej sprawie nie poszło w świat. Musisz cenzurować listy wysyłane z klasztoru.

Podniósł się i okrążył biurko, a kiedy i ja wstałem, otoczył mnie ramieniem, co było widowym znakiem przychylności kanclerza.

– Znajdź winowajcę jak najszybciej, ale przede wszystkim po cichu. – Uśmiechnął się, po czym wziął do ręki złotą szkatułkę. W środku leżała inna fiolka, mała, pękata, z gęstym, białym płynem, który spływał po szklanych ściankach naczynia. – A przy okazji, co o tym myślisz? Może udałoby ci się wykombinować, jak to działa, bo ja nie umiem.

– A cóż to takiego?

– Stało w klasztorze żeńskim w Bilston przez sto lat. Jest to

rzekomo mleko Najświętszej Marii Panny.

Wydałem okrzyk obrzydzenia. Cromwell wybuchnął śmiechem.

– Najbardziej mnie zdumiewa to, jak oni sobie wyobrażali, że ktoś to mleko zdobył od Marii Panny. Musiało być niedawno wlane, bo jeszcze nie wyschło. Spodziewałem się znaleźć jakiś otwór, tak jak w tym poprzednim, ale niczego takiego nie widać. Wygląda na szczelnie zamknięte. Co o tym myślisz?

Zacząłem oglądać szkatułkę i szukać jakiejś maleńkiej dziurki, ale na próżno. Obmaciałem skrzyneczkę, czy nie ma ukrytych zawiasików, aż wreszcie pokręciłem głowę.

– Nie umiem odgadnąć, jak to działa. Wygląda, jakby było szczelnie zamknięte.

– Szkoda, chciałem je pokazać królowi, ubawiłby się.

Odprowadził mnie do wyjścia, a potem otworzył drzwi, cały czas otaczając mnie ramieniem, tak aby urzędnicy mogli widzieć, że jestem w łaskach. Gdy wychodziłem z komnaty, moje oko padło znowu na dwie wyszczerzone czaszki. Migotliwe światło igrało na martwych oczodołach, a ja, czując na ramieniu dłoń swego mocodawcy, musiałem dokonać wielkiego wysiłku, aby stłumić dreszcz.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).